

# Zaprzęg z cieniem

## Część II

(Dokończenie ze strony 19)

gdy wszystkie złe przewidywania Babci spełniały się, nie było warunków do wymiany myśli i ocen. W doli i niedoli trwała z nimi, ciężko pracowała i znosiła zło złośliwości zięcia na los i jego pretensje do rodziny. Ligia długo tego nie rozumiała w pełni, podobnie jak i jej siostry, może z wyjątkiem najstarszej. Wszystko było lub stawało się nieodwracalne, aż dokonało się. Właściwie zło stało się już z chwilą decyzji rodziców (Tatusia) o wyjeździe z Lubartowa.

Wzgórze zaczęło mrocznieć, zapadał letni zmierzch, podróż skończyła się, trzeba było wyprowadzić konie. Oswobodzone zaczęły skubać trawę, były głodne, ludzie też. Babcia zakrzętała się, szukając, z czego może przygotować posiłek. I tak się już potoczyło ich nowe życie.

\*\*\*

Pewnego poranka, jeszcze ciepłego końcem lata, Ligia schodziła łagodnym ukłonem góry, stąpając uważnie, aby nie skaleczyć bosych stóp o sterzące wokół krzewów „korniaki”. Tak nazywało się w jej domu uschnięte części gałęzi obumarłych lub ułamanych blisko korzeni. Zbierało się je na opał; dzięki nim Babcia mogła ugotować posiłki. Mamusię denerwował ich szybko kończący się płomień. Wołała torf, ale tu nie był on tak łatwy do zdobycia jak w Lubartowie. Tam mieli kawałek własnej łąki torfowej. Ligia tęskniła do tej łąki, a właściwie do tamtych przestrzeni miętko uginających się pod nogami, nazywanych bagnami. Rosły na nich piękne różowe, wysokie kwiaty, a wieczorem i wczesnym rankiem dymiły gęstą mgłą. To o nich napisze później długą balladę trzynastozgłoskową, na wzór mickiewiczowskich. Miały w jej dziecięcym sercu specjalne miejsce.

Tu gdzie teraz mieszkają, też unoszą się mgły, poniżej góry na której stoi dom nad łąkami pełnymi kępek małych olszynek. Tu też kopie się torf, ale nie na łące należącej do jej rodziców. Jego pokłady, znacznie mniejsze, występują po drugiej stronie rzeczki. Właśnie pomyślała o tamtych kwiatkach. Tu na zboczu góry rosną kwiaty, też różowe, ale mniejsze, jaśniejsze i mają inny zapach. Dzikie goździki, o ładniejszym niż kwaciarniane zapachu. To chyba starsza siostra Lodzia tak je nazywa, a może Babcia? Ciekawe, jaką mają oficjalną nazwę?

Ligia schyliła się by zerwać kilka i w tym momencie zobaczyła granatowo-turkusowy kłębek, który nagle zatrzepotał skrzydłami, nie mogąc oderwać się od ziemi. Zrozumiała natychmiast. W zastawione sidło złapał się bażant. Będzie obiad dla całej rodziny, pomyślała, była taka głodna. Od paru dni w domu brakowało jedzenia. Myśli biegały po głowie,

jednocześnie ręce starały się pochwytać ptaka, by nie zaciskał sidła na szyi. Nie wiedziała, co zrobi dalej, w tym momencie najważniejsze dla niej było zdjąć sidło. Piękno ptaka zachwyciło dziewczynkę i poraziło. Czuli, że nie będzie w stanie go zatrzymać. Boże, jaki on jest piękny, szeptała. Otworzyła dłonie, jak gdyby wskazując bażantowi drogę do wolności. Przefrunął nad zбочem górki naprzeciwko i opadł w krzewy należące do sąsiadów. Żeby tamci chłopcy nie złapali go, pomyślała z troską, a przed oczami miała wciąż błyszczące turkusem pióra na jego szyi. Jak o tym powiedzieć w domu, zastanawiała się, przyciągając gałąź leszczyny, na której spostrzegła dorodny orzech. Już są prawie dojrzałe, stwierdziła, przegryzając skorupkę w zębach. Robiła tak nawet z zupełnie dojrzałymi orzechami, aż do bólu szczęk. Lubiła te owoce leszczyny. Były namiastką posiłku, służyły jej, i jak sobie po latach uświadomiła, może dzięki nim ma tak dobrą pamięć. Teraz po prostu chciała się nimi pożywić. Wtem poczuła ciepło na ręce, to pieszczoch, żółto-brązowy żrebackek, domagał się swojej porcji. Dostał następny orzech, rozgryziony i wylupany ze skorupki, żeby się maluch nie udławił. Chodził z nią często po krzakach, odbiegając od gniadej, jego matki, wypuszczonej na trawę. Jeśli nie było suszy, zwierzęta można było wyżywić trawą i zielskiem. Gorzej było ludziom, ale jesienią było łatwiej, bo urosła już marchew, dziki szczaw rósł od wiosny. Pieszczoch domagał się następnej porcji oraz głaskania po długiej, trochę splątanej sierści. Ligia nazywała go z tego powodu Kudłaty, ciesząc się, że w zimie będzie mu ciepło, bo w stajni i obórce było zimno.

Plon w postaci laskowych orzechów nie był duży, ale poczuła się rażniej, gdy wracała z płaczącym się wokół niej kudłatym pieszczochem. Czuli się prawie szczęśliwi, tylko jak powiedzieć w domu o wypuszczonym bażancie? Przyszło jej do głowy, że wyszczotkuje Kudłatego, tatuś się ucieszy, wczoraj mówił o takiej potrzebie. Żrebackek nie wytrzymałby szcztokowania i trzeba było zrezygnować. Wówczas Ligia stwierdziła, że to już jej druga rezygnacja dzisiaj i opowiedziała o wypuszczonym bażancie. Rodzice wykazali zrozumienie, Babcia też, chociaż powiedziała: „Dziewczynka zjadłaby rosołku”. Dziewczynka, najmłodsza siostra Ligii, urodziła się w czasie pustego pola i głodu. Nie miała też czego wyssać z pustyj piersi mamusi. Ciągły niedobór jedzenia był dla niej szczególnie dolegliwy, a jego skutki pozostały na zawsze ślady w jej organizmie. Babcia ratowała ją, czym tylko mogła, i starsze rodzeństwo było czasami zazdrosne o tę szczególną troskę.

Tej nocy śnił się Ligii piękny bażant w locie, prawie słyszała świszczący furkot jego skrzydeł. Rano znalazła siedem jajek, po jednym dla każdego z rodziny, w gnieździe ukrytym przez kurę Czubatkę. Nawet jej specjalnie nie śledziła. Wszyscy uznali, że to nagroda za uwolnienie bażanta. Wolność zawsze miała i ma dla Ligii wysoką cenę.

\*\*\*

Jak na taśmie filmowej przesuują się

obrazy dzieciństwa. Najwcześniejszego. Niemalże z pozycji kołyski. Nie może to być, by świadomość dziecka tak wcześnie postrzegała i notowała zdarzenia. Może jednak? Jej przypominają się właśnie jakieś zdarzenia, pojedyncze, niemal urywki. Nie stanowią całości, nie pamięta wielu spraw, nawet późniejszych. Pamięć przeskakuje automatycznie nad krzykami budzącymi strach, jakby chciała się wyeliminować. Miga twarz matki pełna lęku, głośny płacz dziecka, a potem sylwetki dorosłych ludzi i ona już obserwująca, słuchająca, rozumiejąca. Stara się przypomnieć sobie, jak zaczęła rozumieć, i wówczas pojmuje, że tu nie pomoże jej nawet doświadczenie z własnymi dziećmi. Nie sposób tego odtworzyć, tak jak nie sposób odtworzyć kolejności zmiany koni i ich maści zapamiętanych z tamtego okresu jej życia. To chyba było tak: kasztanka, kasztanek wysoki i mała gniada, znów kasztanek i gniado-kary, już nie żrebaki, a jeszcze nie konie, potem kasztan wysoki i czerwono-gniada niska narowista kobyłka.

Czasami maść stanowiła jednocześnie imię. Była więc Bułana ze żrebakiem, Kasztana ze żrebakiem, młodzieńka Karuńka - krótko. Jakiś karo-gniady koń niczym się jej nie upamiętnił. Mongoł siwo-bury zamiennik zabranego siłą przez żołnierza radzieckiego konia rodziców. Niski, pękaty, z długą sierścią. Zrzucił dziewczynkę z siebie z inteligentną złośliwością. Gniade, Kasztany... Zmieniały się, rosły, przychodziły, odchodziły, sprzedawane, kupowane, zabierane rodzicom siłą, starzejące się i nawet kończące życie.

W czasie przeszłym, dojrzewającym, aż do końca najistotniejszego okresu jej życia, Ligia nie raz wspominała dzieciństwo. Zaw sze z naturalnym sentymentem, jak coś, co było oczywiste we wszystkich przejawach, w przykrościach i radościach. Jakby była rośliną czy drzewem, które aby rosło, musiało być pojone, karmione i jakoś tak ważne, że nie mogło być zniszczone. Dlatego może zajmowała się każdą najmniejszą roślinką z jaką się zetknęła, ratowała ją przed uschnięciem. Do dziś reaguje na każdą potrzebę pomocy, podnosi i umacnia korzenie napotkanego na swojej drodze krzewu lub drzewka, skaleczonego czy wyrwanego z ziemi. Czyni to również w stosunku do zwierząt, zwłaszcza małych, potrzebujących opieki. Zawsze odczuwała ich ból, pragnienie czy głód. Wszak wszystko to było nie raz jej, dziecka, udziałem. A rośliny i zwierzęta widocznie czuły tę jej dobrą energię im przekazywaną. Włożona przez nią w ziemię usychająca gałązka wypuszczała listki, ludzie mawiali, że ma rękę do kwiatów, drzew i do dzieci. Jakże często w tym swoim szybko „dorostłym” dzieciństwie była głodna. Głównie to zapamiętała jako przykre z ciężkich lat pustego pola, a potem okupacji niemieckiej. Wszelkie trudy, zmęczenie, niebezpieczeństwa wspomina jako naturalne, jako coś po drodze do tego, co ma osiągnąć pracą, nauką, swoim życiem.

Lidia Kosk

